

Spacer pod gwiazdami

Księżyc był w pełni, gdy stanąłem przed zwartą ścianą poskręcanych drzew. Ich zdeformowane pnie i gałęzie przypominały zastygłe w niewyobrażalnym bólu ciała. Nie wiem czy to z powodu zakradającego się do umysłu szaleństwa, czy też ze zwykłego zmęczenia - ale stalowoszara kora układem zmarszczek i pęknięć przypominała upiorne twarze. Linia lasu ciągnęła się po horyzont, nie było czasu na inną drogę.

Mroki nocy stanowiły doskonałą zasłonę... choć ciałem wstrząsał dreszcz, mięśnie paliły tęnym bólem a żołądek wciskał się pod żebra, nie mogło być mowy o ognisku. One zobaczą. Lgną do światła jak ćmy... i jak ćmy pójdą za Tobą w ogień, na samo dno gorejącego Piekła.

Stal się ich nie ima... jednak ciężar miecza w dłoni dodaje otuchy, daje Ci fałszywe przekonanie, że nadal możesz walczyć, nadal możesz przetrwać... lub w ostateczności przebić własne bebechy. Droga, jaką miałem przed sobą budziła niepokój... drzewa rosły zbyt ciasno, pochylały nad Tobą swoje szponiaste korony z każdym krokiem przytłaczając coraz bardziej.

Gdzieś w głębi tego przeklętego miejsca, nieskazitelną ciszę przerwało mrozące krew wycie... to nie był wilk... cokolwiek to było znajdowało się daleko... na razie. To nie były też One. Dopóki nie podejdziesz na odpowiednią odległość są bezszelestne, a gdy już znajdziesz się w zasięgu ich wzroku – zaczyna się horror. Dźwięk, jaki rozchodzi się wtedy w powietrzu przypomina zgrzyt otwieranego grobu. Włosy stają dęba, oczy wyłażą z orbit a jądra kurczą się jak suszone winogrona. Czas nagle przyśpiesza a Ty już wiesz, że Pani Śmierć ostrzy dla Ciebie swoją kosę. Wszystko jest lepsze niż spotkanie twarzą twarz z kostuchą, dlatego zagłębiłem się w ten widmowy cmentarz garbatych drzew, mając nadzieję, że dane mi będzie z niego wyjść.

Wśród grubych korzeni zachłannie rozrywających każdy skrawek ziemi, nieśmiało wiła się zarośnięta ścieżka. To dziwne, że te dzikie rośliny jeszcze nie rozpanoszyły się na tym kawałku wolnej przestrzeni. Wydawały się pod tym względem zaskakująco zdyscyplinowane, zupełnie jak... armia. Posuwając się wąskim przesmykiem, wśród zbitej masy upiornych sylwetek czułem się niemal jak dowódca dokonujący przeglądu wojsk. Nerwowy śmiech wyrwał mi się z gardła. Mój ojciec, dowódca w wielu bitwach, - dla którego najskuteczniejszym narzędziem wychowawczym był pas lub noc spędzona na mrozie – powiadał, że dyscyplina i honor to dwie najważniejsze cechy każdego mężczyzny.

Doskonale pamiętam jak zawsze puentował swoje wywody:

„Chcesz usłyszeć o przeklętej armii Eldanera Czarnego chłopcze? Zwanego też Czarnym Borowym? Chcesz wiedzieć jak skończył człowiek, przed, którym trząsł się każdy przeciwnik? Otóż Eldaner po za tym, że był draniem i okrutnikiem jak na ironię kochał naturę kierując w jej stronę resztki czułości i łagodności. Bliźnich eliminował bez mrugnięcia okiem, zbierał wśród nich obfite żniwo, natomiast nad każdym

uschniętym drzewem zalewał się wręcz rzewnymi łzami. Z jednej ze swych dalekich podróży na wschód przywiózł dziwne nasiona. Nasiona, poprzez które mógł połączyć swoje chorobliwe pasje: uwielbienie dla matki natury i chęć przysparzania cierpienia każdej humanoidalnej istocie. Eldaner mój chłopcze był niepokonany! Rozbijał w puch każde wojska! Zapewne sądzisz, że nikogo nie oszczędzał? Otóż nie! Starał się uratować z pobojuwiska jak najwięcej rannych! Byli mu potrzebni. Niezbędni, aby mógł zasadzić swoje drzewa. Te egzotyczne rośliny miały dziwną właściwość: pożywką dla nich było ludzkie ciało, żywe ciało. Tak więc każdego odratowanego jeńca zamieniał w makabryczny obelisk z ciała i drewna, krwi i żywicy. Podobno roślina, gdy było to konieczne, potrafiła przebić pancerz i zagłębić się w trzewia niczym sztych miecza. Wszyscy jego wrogowie kończyli w ten sposób, Eldaner każde pobojuwisko zamieniał w „uroczy” zagajnik. Setki nieszczęśników zakutych w prowizoryczne dyby czekało aż piekielne ziarenko wykiełkuje i stopniowo odnajdzie drogę do środka...

Podczas Wielkiej Wojny Strachu Eldaner zaciągnął się wraz z swoimi legionami u tajemniczego buntownika z północy. Do dziś nie wiadomo skąd się wziął i kim dokładnie był. Z całą pewnością można go określić jako jeszcze gorszego łotra, upiora wojennego chaosu, którego zrodzić mogła jedynie Otchłań i jej złe moce. Nikt go nie widział, nikt nie wiedział jak wygląda, jego armię trzymały przy nim budzące grozę pogłoski. Eldaner zgodził się uzupełnić uszczuplone siły buntownika, jednak w chwili wezwania do walki pozostał wraz z oddziałami w obozie. Uznał swego mocodawcę za wymysł i mistyfikację. Przedłożył lubieżne objęcia ciągnących za wojskiem kurew nad ścisk bitwy. Wolał przelewać wino niż krew w służbie wymaganego suwerena. Złamał dane słowo, splamił swój honor i podeptał dyscyplinę. Dlatego nierządnicę, które w nocy zasnęły u boku żołnierzy, rankiem obudziły się wśród powykręcanych, zdrewniałych sylwetek ludzkich. Eldaner wraz ze wszystkimi swoimi poplecznikami został przeklęty. Twarde pnącza egzotycznych roślin powoli rozrywały nadal pulsujące życiem ciała, zrastały się z nimi zapowiadając męczarnie na długie wieki.”

Może właśnie ta opowieść z dzieciństwa, głęboko wryta w delikatnej psychice małego chłopca sprawiła, że skojarzenie mego obecnego otoczenia z przeklętą armią było wyjątkowo mocne. Czułem się jak samotny wędrowiec przemierzający cmentarzysko upiorów przeszłości. A jednak to nie mogła być armia Eldanera. Choćby przyjąć, że w każdej legendzie jest ziarno prawdy, choćby każda opowieść była echem prawdziwych wydarzeń z przeszłości, to nie mogła być jego armia. Według wszelkich podań i źródeł koszmarną wegetację przerwał ogień. Smoczy ogień potężnego Aksjoposa strawił zdrewniałe ciała na popiół pozostawiając jedynie spaloną ziemię. Aksjopos był podobno pierwszym smokiem, z jakim zetknął się człowiek. Obudzony z długiego snu wychynął z przepastnej czeluści ziemi, siejąc wokół spustoszenie i grozę. Oto pojawiła się bestia wcześniej nieznaną, bestia, która strąciła nas ludzi z piedestału gospodarzy świata. Człowiek uświadomił sobie, że jest tu tylko jednym z gości i, że świat wciąż skrywa tajemnice, które dla jego dobra powinny zostać w ukryciu. Instykt podpowiadał mi, że z każdym krokiem zbliżam się do odkrycia kolejnej z nich. Nie czułem się z tym dobrze.

Wkrótce straciłem rachubę czasu. Miałem wrażenie, że moja wędrówka trwa już całe wieki, a tym czasem księżyc nadal królował na firmamencie. Mimo że posuwałem się do przodu, krajobraz nie ulegał zmianie. Jedyne białe punkty na niebie dodawały mi otuchy, pozwalając mniej więcej określić kierunek. Byłem jak rozbitek dryfujący przez bezkresny ocean drzew, bez nadziei na ocalenie.

Nagle słabe światło gwiazd i księżycy zostało przesłonięte przez cień. Na krótką chwilę mrok zgęstniał, jednak, gdy spojrzałem w górę ujrzałem jedynie czyste niebo. Nadal otaczała mnie nieskazitelna cisza. Droga przede mną była wolna, a mimo to, coś nie dawało mi spokoju, nie pozwalało zrobić kolejnego kroku. Miałem nieodparte uczucie, że na mych plecach zawisł jakiś nienawistny wzrok. Gdy powoli się odwróciłem zobaczyłem Ją. Stała na końcu drogi, którą do tej pory pokonałem. Sylwetka była niewyraźna, rozmyta, zlewała się z mrokiem nocy. Ślepia jako jedyny stały punkt odniesienia lśniły nienaturalnym blaskiem. Te krwistoczerwone oczy, - z daleka będące jedynie świecącymi punkcikami – przerażały. Miało się wrażenie, że patrzą na wskroś, że będą Cię widzieć wyraźnie w każdej odległości. Oczy były jedynym elementem, jaki w stanie był dostrzec każdy śmiertelnik. Reszta „ciała” nieuchwytna, nieustannie zmieniająca swą powierzchowność, była kotłującym się chaosem. Chaosem, który podczas konfrontacji przeistaczał się w precyzyjne narzędzie śmierci.

Jakim cudem tak szybko mnie znalazły? Drżącymi dłońmi ścisnąłem rękojeść miecza. Skierowałem ostrze ku własnemu podbrzuszu. Muszę to zrobić, to jedyne wyjście, w przeciwnym razie znowu stanę się zakładnikiem tego potwora... potwora, który drzemie w mojej własnej skórze... potwora, którego ścigają jak zbiegłego sługę. Monstrum musiało wyczuć moje zamiary gdyż w powietrzu zawibrował dobrze mi znany dźwięk. Dźwięk, który wywołał gęsią skórkę. Z chwilą, gdy już miałem przebić własne trzewia coś uderzyło we mnie z impetem zwalającym z nóg. Zapomniałem, jakie są szybkie. Zerwałem się na równe nogi, gorączkowo wypatrując w mroku zagubione ostrze. To nie może się tak skończyć, nie po to uciekłem, nie dopadną mnie po raz kolejny! Czułem, że mnie otaczają, nie widziałem ich w mroku, ale ten paskudny dźwięk, którym się nawołują zwielokrotniał się z każdą chwilą. Osaczony przez te upiorne stworzenia, przypomniałem sobie słowa ojca: „Dyscyplina i honor to dwie najważniejsze cechy każdego mężczyzny”.

Skoro już mam umierać, to tylko jak prawdziwy mężczyzna, wśród zwłok poległych wrogów. Niech bestia zawładnie moim ciałem ku zgubie mych prześladowców. Niech moje człowieczeństwo zatraci się w krwawej furii, która rozszarpie te diabelskie pomioty! Pod połami podartej opończy wyczułem srebrny bretnal przebijający serce. Mój przeklęty talizman, dzięki któremu balansowałem na granicy świadomości i obłądzenia. Wyciągnąwszy go do połowy szarpnąłem gwałtownie. Paroksyzm bólu wstrząsnął ciałem jednocześnie otrzeźwiając zmysły. Wygląda na to, że wasz cerber zerwał się ze smyczy – wychrypiałem. Po raz ostatni spojrzałem na przestwór nieba z delikatnymi punkcikami gwiazd i z chłodnym obliczem księżycy w pełni. „Jaki piękny widok” – zdążyłem zauważyć, po czym umarłem.

Umarłem wydając na świat Niszczyciela, Wirującą Śmierć ostrych jak brzytwa kłów i szponów.

Srebrzysty blask wdzierał się w mrok dziupli. Jej nieskazitelną czerń zakłóciły nagle dwie złociste ob-
ręcze wielkich oczu. Sowa wyfrunęła na zewnątrz i przysiadłszy na gałęzi chłodnym okiem obserwowała.
U podnóża ogromnego dębu rozgrywała się intrygująca scena.

Sześć cienistych postaci, niczym sfora psów krążyło wokół człowieka, który wydawał się być inny... było
w nim coś nietypowego. W beznamiętnym blasku sowych ślepi odbijała się humanoidalna sylwetka, która
powoli traciła kształt. Napastnicy byli pozbawieni jakiegokolwiek wyraźniejszego zarysu, ale to były
dzieci Otchłani, zniekształcone plugastwo wyhodowane w mrokach Ardgyasilu, jednak osaczony
mężczyzna z pewnością był człowiekiem. Mimo to z każdą sekundą tracił swe człowieczeństwo. Wśród
nieskazitelnej nocnej ciszy jego krzyk przechodził stopniowo w charkot, korpus zwiększał swą objętość,
żebra i mięśnie rozpychały wątlą strukturę ciała. Dłonie kurczowo zaciśnięte w poszyciu gwałtownie się
prostowały strzelając pękającymi stawami. Palce wydłużały się i zakrzywiały przybierając kształt szpo-
nów. Pod wpływem rozrastających się kłów i szczęki, typowo ludzka twarz coraz bardziej się deforma-
wała. Oczy zachodziły bezmyślną żądzą mordy.

Pierwszy intruz zginął zupełnie niespodziewanie. Bestia zerwała się do ataku w mgnieniu oka. Wypadło
na najbliższego, krążącego na wprost. Ludzkie oko nie byłoby w stanie uchwycić śmiertelnego ciosu. Nie
byłoby w stanie ujrzyć ciała, które ów cios rozszarpał, jednak sowa miała bystry wzrok. Dla niej, prze-
ciwnicy osaczonego mężczyzny byli czymś więcej niż tylko cieniami, jej przenikliwe spojrzenie wśród
mgliście czarnej aury dostrzegało tkanę, którą można było uszkodzić. Zmiennokrzałtany też ją widział.
W powietrzu rozszedł się zgniły odór, coś chlupnęło i chwilę potem na ziemię bezwładnie opadło truchło
przypominające monstrum z najgorszego koszmaru.

Nagi korpus z wyraźnie zarysowanymi krągłościami piersi i bioder skusiłby nie jednego mężczyznę. Na-
pięta, jedwabście gładka skóra hipnotyzowała... do czasu aż nie spojrzano się z szerszej perspektywy. Z
drobnych ramion wyrastał paskudny łeb kruka z zakrzywionym dziobem. Smukłe plecy były oszpecone
parą błoniastych skrzydeł jak u nietoperza, natomiast nogi, – między którymi potwór był typowo kobiecy
– zakończone były lwimi łapami. Przednie kończyny przypominały orle szpony, z kolei zgrabne pośladki
tylnych, kontrastowały z długim ogonem skorpiona. Kształtny brzuch został rozcięty jednym ciosem.
Wszystkie wnętrzości wylały się na zewnątrz jak z rozprutego bukłaku. Zasłona tajemniczości znikła,
reputacja niepokonanej kreatury z piekła rodem wyparowała. Pozostał jedynie obrzydliwy stygnący zew-
łok. Zdawało się, że czas na chwilę wstrzymał swój bieg.

Jedna z Nich została unicestwiona! Nawet sowa zahuczała z podziwu. To wyrwało wszystkich z
odrętwienia. Pozostałe pięć cieni zaatakowało równocześnie.

W drgającym powietrzu dało się wyczuć gniew, pierwotną czystą nienawiść. Z mroku po lewej stronie
wystrzelił ogon skorpiona. Chybił celu, jednak owinął się na przedramieniu. Bestia unikając ciosu w ple-
cy zeszała do parteru i okręcając się wokół własnej osi przygwoździła przeciwnika do ziemi. Zaciskając
obie łapy w połowie ogona naprężyła go jak strunę. Rozległ się nieprzyjemny chrzęst powoli wy-
rywano stawu i przedśmiertny skowyt bólu. Kolejny z atakujących, przyłgnąwszy do grzbietu niedaw-
nej ofiary próbował unieść ją w powietrze jednak ciężar był zbyt duży. Monstrum wyswobodziło się z
uścisku i jednym długim skokiem dopadło próbującego uciec napastnika. Długie wilcze kły wbiły się w
paskudne ciało, a potężna szczeka zmiażdżyła kostną narośl chroniącą kark.

Potem zaczął się taniec Śmierci. Bolesne ukłucie jadowitego żądła, błyskawiczny obrót o sto osiemdzie-

siąd stopni i unik przed kolejnym uderzeniem. Koszący kontratak ostrych jak brzytwa pazurów i czwarty przeciwnik zaczął konać w szybko powiększającej się kałuży. Dwóch pozostałych zwiększyło dystans. Czekali jakby kalkulowali swoje szanse.

Sowa obserwowała uważnie. Wbrew instynktownemu przeczuciu – przeczuciu każdego drapieżnika - nie zaatakowali razem. Zamiast tego rzucili się na siebie.

[...] W początkach Wszechświata potężny Helfrjod, powodowany zazdrością wobec swych Braci, którzy wypełnili Dominium różnorodnymi stworzeniami, zapragnął przyćmić ich talent twórczy. W ukryciu przed jakimkolwiek wzrokiem, zaszył się na samym dnie Ardgryasilu i prowadząc okrutne eksperymenty starał się wyhodować nadrzędnego drapieżnika. Był, który w uniwersalny sposób będzie łączył wiele cech poszczególnych gatunków. Po wielu nieudanych próbach Otchłani w końcu wypluła pierwszą Chimere Chaosu. Organizm tak niestabilny, tak sprzeczny, że ciągła ewolucja, gwałtowny rozwój leżał w jego naturze. [...]

Chimera pod nieprzenikalną osłoną z Cienia była jak mutagenny żywioł. Gdy zaszła taka potrzeba w kilka chwil potrafiła „skrzyżować” się z dowolnym organizmem zwiększając tym samym swoją siłę, szybkość i energię witalną. Te plugawe stworzenia szczególnie łatwo oddziaływały między sobą tworząc Berserkera Cieni - najbardziej śmiertelnością konfigurację ze wszystkich możliwych [...].

Anonim, *Mitologia Mroku*, t.3: *Bestiariusz Otchłani*, karta 221.

Dwie zjawy złąły się w jedno, powietrze wokół zawiroowało, pajęczyna wyładowań przecięła kotłującą się smolistą plamę. Huknęło jak gromem. Sowa zerwała się do ucieczki, gdy z czarnej czeluści kontrastującej z delikatnym mrokiem nocy wylazł On. Mierzący ponad dwa metry moloch miał sześć ramion. Twarz anioła pod smukłymi wargami skrywała kły jak sztylety a zza pleców wystrzeliły dwa skrzydła gęsto pokryte czarnym piórem. Odwłok łuskowatego cielska wił się jak u węża. Demon rozłożył skrzyżowane ręce, w każdej było czarne ostrze. Usta rozwarły się jeszcze szerzej, w nienaturalny sposób ukazując ogromną paszczę. Rozstaw szczęk był imponujący, wydawało się, że mógłby połknąć młode prosię w całości. W jednej chwili oślizgły gadzi ogon napiął się jak sprężyna. Skok był błyskawiczny i długi. Czarne skrzydła rozpostarły się w locie zwiększając dystans. Zmiennokształtny zaczął się cofać robiąc uniki przed zabójczymi cięciami sześciu ostrzy, jednak wirujące brzeszczoty mimo to go dosięgały. Pierwsze cięcie, drugie, trzecie... każde zostawiało krwawiącą ranę. Sparowanie tych ciosów było niemożliwe. Ból był zbyt duży, całkowicie paraliżował.

Poczwara uwalniając dłoń od ciężaru broni, chwyciła srebrny bretnal porzucony w trawie. „Bez kagańca gryziesz jak wściekły pies” – głos był głęboki i zimny jak sama Otchłań, wdzierał się w świadomość niczym gwóźdź przebijający czaszkę. Żelazny uścisk węzowego splotu zamknął się na ofierze.

Unieruchomiony, czekając na ponowne nałożenie jarzma, mogłem patrzeć tylko na wprost. Moja ludzka podświadomość na chwilę przebiła się przez ścianę zwierzęcej furii. Powoli wstawał krwawy świt – naczynony delikatną czerwonawą luną na horyzoncie. Puszyste chmury - lekko skąpane w tym świetle - leniwie przesuwały się po nieboskłonie. Jedna z nich odsłoniła niewyraźną obręcz księżyca tuż nad zachodnim widnokrzem, nieco wyżej widoczne były blednące piegi przemijającej nocy – gwiazdy.

Znowu zaczął narastać we mnie gniew. Mój błądy przyjaciel na niebie przesłał mi ostatni impuls przed swoim odejściem. Ludzka natura na powrót zaczęła być tłumiona przez pojedynczy zryw zwierzęcej wściekłości.

Demon nie zdołał ukryć zaskoczenia, gdy jego ręka napotkała opór. Zaskoczenie było tym większe, że zdarzenia następowały zbyt szybko. Szpony zacisnęły się na przegubie, miażdżąc kość – bretnal wypadł z bezwładnych palców. Ostre zęby wbiły się w łuskowatą skórę powodując nieznośny ból, ból, który osłabił węzowy uchwyt. Potem ofiara jednym skokiem dostała się na plecy, poza zasięg długich ramion i morderczych kłów. Jedno skrzydło zostało złamane, drugie prawie wyrwane. Berserker w przerażającym ryku cierpienia rozwarł szczęki na całą szerokość. To był błąd. Wilkołak zawył do znikającego za horyzontem księżyca, po czym chwytając za dolną i górną szczękę gwałtownie szarpnął. Coś nieprzyjemnie chrupnęło. Zaraz potem sześć ramion opadło bez życia.

Wycie stopniowo zamieniało się w charkot a charkot zamienił się w krzyk, gdy srebrny talerz zniknął za horyzontem.

Krzyk zwycięstwa.

Krzyk człowieka, który tryumfował stojąc wśród szczątków swych upiorów.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.